

BENJAMIN R. BARBER
DZIHAD
KONTRA
MCSWIAT

przełożona
HANNA JANKOWSKA

Warszawskie
Wydawnictwo
Literackie
MUZA SA
Warszawa 1997

Dziki kapitalizm a demokracja

Choć doszukiwanie się demokratycznego potencjału w rumowisku państw narodowych, jakie pozostawił po sobie Dżihad, jest niezwykle żmudnym zajęciem, jeszcze trudniej się zorientować, w jaki sposób jednostronne angażowanie się po stronie wolnych rynków McŚwiata (które Solżenicyn nazwał „dzikim kapitalizmem”) może przynieść zwycięstwo demokracji. Rynek bynajmniej nie wygląda na idealny instrument regulacji i kontroli dobra publicznego, a niedoszli demokraci, którzy upatrują w nim źródło regulatorskich norm i demokratycznych wartości, całkiem chyba stracili rozum. Historyk John Pocock zadaje pytanie: „Czy podporządkowanie suwerennej wspólnoty obywateli globalnej działalności post-industrialnych sił rynkowych stanowi złe czy dobre posunięcie w architekturze postnowoczesnej polityki?”¹. Moja odpowiedź brzmi: złe. Co więcej, tragiczne.

Nie chcę przez to sugerować, że siły rynku i ideologia liberalna nie są modne wśród postindustrialnych postmodernistów albo że nie służą produktywności i tworzeniu bogactwa. Ideologia *laissez-faire*, rozwinięta przez prepostmodernistów w rodzaju Friedricha Hayeka i Milтона Friedmana, zakłada jednak nie kończącą się „walkę między kolektywizmem i indywidualizmem”, w której każde poszerzenie zakresu władzy rządu, czy to w ramach reżimu stalinowskiego, czy w demokratycznie zorganizowanym mieście, ma charakter „kolektywistyczny”, a więc jest *a priori* zamachem na wolność². Rząd, w tym demo-

kratyczny, bywa zawsze podejrzany, rynek – zawsze nie-szkodliwy. W opinii tej odmiany liberałów poszerzenie demokracji może oznaczać wyłącznie ograniczenie kompetencji rządu. W mniejszym stopniu wynika z ustanowienia niezależnego społeczeństwa obywatelskiego niż z rozbudowania rynku poprzez osłabienie władzy państwowej, sprywatyzowanie przemysłu i poszerzenie zakresu wolnego handlu. Kiedy ekonomiczni reformatorzy myślą w ogóle o rządzie, to w kategoriach odwrotności norm konstytucyjnych – polityka jest w ich ujęciu brakiem polityki, prawo zaś zbiorem ograniczeń władzy sprawowanej przez lud, a nie zbiorem zasad umożliwiających jej sprawowanie³.

Badacze, którzy poważnie zajmują się rynkiem i polityką odróżnić totalitarny kolektywizm od demokratycznego dążenia do wspólnego dobra, będą chcieli podważyć te quasi-anarchistyczne liberalne dogmaty⁴. Bez względu na odrodzenie popularności liberalizmu gospodarczego w Anglii i Ameryce w ciągu ostatnich dziesięcioleci (spółgowane jeszcze przez głęboką awersję do polityki i polityków), istnieje dawna i szlachetna tradycja, nie związana z kolektywizmem ani nawet z doktryną państwa dobrobytu. Tradycja ta kwestionuje powszechnie uznaną skuteczność rynku i tak wychwalaną zdolność ekonomicznej samoregulacji⁵. Andrew Bard Schmookler i Robert Kuttner ostro dziś krytykują politykę *laissez-faire* epoki Reagana i Thatcher za koszty społeczne, ale nawet Adam Smith nie uważał, że rynek potrafi wszystko załatwić⁶.

Stosunki rynkowe nie mogą po prostu zastąpić stosunków społecznych, a co dopiero ich demokratycznej formy. Tylko fanatyczni propagatorzy kapitalizmu w skrajnym leseferystowskim wydaniu (które Robert Kuttner nazywa jego utopijnym wcieleniem) mogą utrzymywać, że jest inaczej. Choć korelacja między demokracją i kapitalizmem da się na przestrzeni dziejów zauważyć, to demokracja wytworzyła kapitalizm, a nie odwrotnie. Anglia, w XVII wieku merkantylistyczna, zdemokratyzowała się

w ciągu XVIII stulecia, a dopiero w wieku XIX, jako państwo demokratyczne, przyjęła politykę pełnej industrializacji, wolnego handlu (anulowanie tzw. Praw Zbożowych w 1846 roku) i budowy ekonomicznego imperium. Po dziś dzień gospodarka państw kapitalistycznych zależy od silnych demokratycznych rządów, które nie tylko poskramiają aktywnie ekscesy rynku i dbają o dobro publiczne, będące – co zrozumiałe – poza zakresem zainteresowań kapitalizmu, ale i nadal troszczą się o same rynki. Państwa „kapitalistyczne”, które mogą się poszczycić największymi sukcesami, stosują subtelny, lecz stanowczy merkantylizm.

I Japonia, i Niemcy pod osłoną powojennej „rewolucji wolnorynkowej” prowadziły agresywną politykę państwową w ekonomii. *New Deal* Franklina Delano Roosevelta uratował zarówno kapitalizm przed samozagładą, jak i Amerykanów przed bezwzględnością kapitalizmu w sferze społecznej. Ani Ameryka Reagana, ani Anglia pani Thatcher nie mogłyby trwać przy złudzeniu powrotu do doktryny *laissez-faire* w czystym wydaniu, gdyby nie dorobek kilku interwencjonistycznych rządów i gospodarka miesza-na (Reagan uswiadomił to sobie, kiedy przez krótki czas zachciało mu się poigrać z systemem opieki społecznej). Prawdziwie wolna gospodarka bywała zawsze w naszym stuleciu gospodarką mieszaną – demokratyczne rządy znajdowały równowagę między względami ekonomicznej użyteczności gospodarczej a sprawiedliwością społeczną. Norman Birnbaum opisuje niemiecki cud gospodarczy jako „rynek ściśle związany z państwem. Subsydia i system podatków stwarzający bodźce gospodarcze, ogromny sektor publiczny, znaczne nakłady państwa na badania naukowe, jego ważna rola w kształceniu zawodowym, udzielenie kredytów eksportowych – oto skoordynowane elementy polityki gospodarczej państwa. Główne banki prywatne, rząd i Bank Federalny ściśle ze sobą współdziałały. Była to w znacznym stopniu kontynuacja tradycji państwa dobrobytu, zmodernizowanego przez Bismarcka”⁷.

To, co sprawdziło się w Niemczech, można odnieść do wszystkich państw kapitalistycznych, które po wojnie odniosły sukcesy gospodarcze. Dobrze rozumiały, że gospodarka oparta na zasadach liberalnych w czystej postaci szybko się załamuje i ulega samodestrukcji, do czego przyczyniają się konflikty pracowników z pracodawcami, bezrobocie, cykle handlowe i monopole. Dopiero nowym demokratycznym okresu przejściowego zagraniczni doradcy wmówili (albo międzynarodowe banki siłą je przekonały), że kapitalizm w wydaniu *laissez-faire* to samowystarczalny system społeczny. Skutki, jak łatwo było przewidzieć, okazały się fatalne. Jak dalej zobaczymy, to, co Aleksander Sołżenicyn nazywa „dzikim kapitalizmem” – system, dla którego typowe są „bezpłoduktywnie barbarzyńskie i odrażające formy zachowania oraz grabież bogactwa narodowego” – uczynił z nowej Rosji kraj, gdzie „bezwstydne korzystanie z uprzywilejowanej pozycji społecznej i nieograniczona władza pieniądza” (a więc zjawiska, które miały zniknąć wraz z upadkiem komunizmu!) przetrwały się dzisiaj gorzej niż kiedykolwiek⁸.

Nawet w idealnych warunkach, gdy wybryki dzikiego kapitalizmu są kontrolowane, a gospodarka osiąga pewien stopień samoregulacji, rynek jest w stanie zaspokoić potrzeby społeczeństwa tylko w ograniczonym zakresie⁹. Idealne warunki oznaczają wyłączenie to, że kupujący i sprzedający wchodzą ze sobą w określone stosunki, a fluktuacja cen sprawia, że towary, konsumenci i producenci wzajemnie na siebie oddziałują w produktywny sposób. W najlepszym razie zapewnia to tylko maksimum ekonomicznej wydajności w zakresie produkcji i dystrybucji dóbr trwałych. Nic ponadto. Tymczasem rzeczniczy doktryny liberalizmu gospodarczego jako strategii politycznej utrzymują, że załatwia ona o wiele więcej. I tu właśnie leży problem.

Mamy do czynienia z katastrofalnym pomieszaniem pojęć. Czym innym jest umiarkowana, mająca podstawy w rzeczywistości opinia, zgodnie z którą elastycznie regu-

lowany rynek to najskuteczniejszy instrument produktywności ekonomicznej i akumulacji kapitału, czym innym zaś prostackie twierdzenie, iż nagi, nieokiełznany rynek stanowi jedyny środek pozwalający wytwarzać i dystrybuować dosłownie wszystko, czego człowiek może zapragnąć, od dóbr trwałych do wartości duchowych, od inwestycji kapitałowych po sprawiedliwość społeczną, od rentowności po zachowanie środowiska naturalnego, od prywatnego bogactwa po dobro publiczne. Wychodząc z tych założeń opętani żądzą zysku szermierze prywatyzacji upierają się, że tak różne i bez wątpienia publiczne dobra, jak edukacja, kultura, wymiar sprawiedliwości, pełne zatrudnienie, dobrobyt społeczny i równowaga ekologiczna mogą być regulowane przez rynek¹⁰. W prywatyzacji widzą nie tylko sposób do ograniczenia tonącej w samozadoleniu biurokracji państwowej, ale i unicestwienie demokracji.

Wiara we wszechmoc rynku znalazła w Ameryce wyraz w polityce zagranicznej, która zakłada, że umiędzynarodowienie rynków równa się ich demokracji i że wolność człowieka zostanie zagwarantowana z chwilą, gdy najmniejsze narody czy plemiona przyjmą dogmaty wolnego rynku. Friedmanowie sławią rynek pod hasłem *Free to Chose* – „Wolnego wyboru” – jakby można było zaliczyć do jednej kategorii wybieranie marki czy znaku firmowego i wybór stylu życia lub wspólnych wartości kulturowych¹¹. Niedawno zaś Jeffrey Sachs, fanatyczny uczeń Friedmana i wielce ambitny ambasador kapitalistycznej reformy w państwach przeżywających okres transformacji, oświadczył, że Europa Wschodnia „zruciała z siebie jarzmo systemu komunistycznego” nie po to, by stworzyć społeczeństwo otwarte, ale żeby przyjąć kapitalizm. Jeśli tak się sprawy mają, jej celem musi być „gospodarce zharmonizowanie z Europą Zachodnią” – coś, co wymaga radykalnej reformy ekonomicznej i nieustającej „terapii szokowej”¹². Doktryna gospodarczego liberalizmu może zagrozić państwu narodowemu, ale państwo

to przynajmniej posiada na tyle władzy, że może się przeciwstawić konsekwencjom, jakie niesie wprowadzanie kapitalizmu w nieokrzesanym wydaniu. W gospodarce międzynarodowej leseferizm ma fatalne skutki, nie ma tu bowiem żadnych suwerenów, a agresywne instytucje ponadnarodowe wcielają w czyn strategię rynku nie podlegając kontroli żadnych ciał pełniących funkcje regulacyjne. Kutner zauważa, że „triumf etyki leseferyzmu zbiegł się ze względnym osłabieniem jej głównego rzecznika – Stanów Zjednoczonych”¹³. O ile dawniej powstałe międzynarodowe instytucje, takie jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy umożliwiały Stanom Zjednoczonym demonstrowanie siły na arenie światowej, o tyle słabnięcie amerykańskiej potęgi pozostawia te same instytucje na łasce prawdziwych wielonarodowców naszej epoki, ponadnarodowych korporacji i niezliczonych pozarządowych grup interesu oraz stowarzyszeń, tworzących rynek światowy.

Nie dajmy się zmylić specem od *public relations*. Bank Światowy mniej jest zainteresowany ochroną środowiska czy umacnianiem samodzielných gospodarok narodowych państw-dłużników niż stwarzaniem szans (choć bynajmniej nie równych) dla międzynarodowego biznesu. Udzielane przezeń pożyczki często doprowadzają klientów do bankructwa. Całkowite zadłużenie Polski wyniosło w 1993 roku ponad 60 procent jej produktu krajowego brutto, a zadłużenie Węgier – prawie 80 procent PKB¹⁴. Uganda winna jest Bankowi Światowemu 62 procent swego zadłużenia zagranicznego, koszty kontrowersyjnego projektu – finansowanego przez Bank tamy Chixoy w Gwatemali – stanowią 40 procent jej długu zagranicznego. Wiadomo również, że Bank wymuszał przesiedlenia ludności w krajach, których narody nie miały nic do powiedzenia w kwestii projektów irygacyjnych czy transportowych realizowanych rzekomo w imię ich rozwoju¹⁵.

Ci, którzy wierzą, iż państwo narodowe mimo wszystko przetrwa, nie muszą się martwić. Na przykład Robert

Kuttner wciąż uważa, że „choć światowi inteligenci mogą myśleć o sobie jako o bezpaństwowcach, a globalny kapitał może dostrzegać w państwach narodowych anarchiczne zawładrogi, państwo pozostaje ośrodkiem organizacji politycznej stanowiącym strukturę najlepiej przygotowaną do przeciwstawienia się ekscesom rynku”¹⁶. Nie ulega wątpliwości, że państwo jest „najlepiej przygotowane” do równoważenia dzikiego kapitalizmu, ale zachodzi pytanie, czy nadal jest w stanie to robić albo czy ma ochotę próbować. Rzeczywistość wygląda raczej tak, jak zauważył Paul Krugman, ekonomista z Uniwersytetu Stanford: „Rządy pogodziły się z systemem, który pozwala rynkowi na uzyskanie hegemonii”¹⁷. Nowy rząd Republiki Czeskiej chwali się, że ma zamiar „stworzyć równe szanse dla inwestorów, zarówno krajowych, jak i zagranicznych” i opowiada się zdecydowanie za minimum interwencji władzy państwowej¹⁸. Nowe państwa, w których „spoteczeństwo obywatelskie zostało z czasem opanowane przez zorganizowaną przestępczość” musiały w końcu odkryć, że „życie siły [władzy] w pozytywnym sensie” jest nie na rękę zarówno dawnym wrogom państwa – ofiarom komunizmu, jak i jego nowym nieprzyjaciółom – doradcom forsującym doktrynę gospodarczego liberalizmu, którzy podlegają tych pierwszych przeciwinstytucjom państwowym, a przecież tylko one mogłyby sprawować jakiś nadzór nad bezwzględnyim rynkiem¹⁹.

Zdarza się co prawda, że państwa interweniują na rzecz spoteczeństwa obywatelskiego, ale na arenie międzynarodowej nie ma odpowiedniej struktury (z pewnością nie są nią bezsilne ponadnarodowe imitacje państw) zdolnej do przeciwstawienia się wielonarodowym korporacjom i rynekom, na których one działają. Znany biznesmen Walter B. Wriston stwierdza, iż rządy nie są już nawet w stanie „wymierzyć” tworzenia się kapitału, ponieważ nowy kapitał jest w znacznej części intelektualny²⁰. Jak więc mogą regulować go czy kontrolować? Wriston sarkastycznie stwierdza, że magik od komputerów z całkiem nowym

programem w głowie może przekroczyć granicę, nikt go nie obłoży cłem, a tymczasem twórcę jego umysłu będzie miał większą wartość kapitałową niż towar przewożony przez tysiąc frachtowców. Wiemy już (była o tym mowa w części I), że nowe towary mają raczej wirtualny niż trwały charakter, a ich producenci – „specjaliści od analizy symboli”, jak ich nazywa Robert Reich – stanowią nową klasę ponadnarodową, znajdującą się poza zasięgiem jakiegokolwiek państwowej suwerenności. Komisja Senatu do spraw bankowości może zaglądać przez ramię narodowym bankom (nawet jeśli robi to niezbyt mądrze albo nieskutecznie), ale kto ma na tyle władzy (lub wyobraźni) by spojrzeć przez ramię międzynarodowym bankierom i anancom od transakcji walutowych? Albo programistom i analitykom zapewniającym funkcjonowanie banków i rynków walutowych? Obroty na tych rynkach sięgają biliona dolarów dziennie, żaden bank państwowy ani nawet cała ich grupa nie może mieć na to większego wpływu. Kiedy latem 1994 roku 17 największych centralnych banków świata (w tym amerykański Bank Rezerwy Federalnej) próbowało wydzwignąć dolara, zdołały zgromadzić zaledwie 5 mld USD. Jak się uroczo wyraził Thomas Friedman, można to było porównać do „starań dozorczy w zoo, który próbuje uspokoić wygłodniałego goryla podając mu na obiad jedną rodzynekę”²¹.

Rzeczniczy wolnego rynku, jak Wriston, zadowoleni są z niepowodzenia Układu Bretton Woods (na mocy którego suwerenne państwa próbowały uporządkować międzynarodową wymianę walutową po II wojnie światowej). Ma to być dowodem, że „Wielki Brat” (karykaturalne wyobrażenie państwa, zarówno demokratycznego, jak i autokratycznego) został wykopany z biznesu. Niestety, skończyła się wraz z tym rola Wielkiego Brata jako gwaranta sprawiedliwości społecznej, a liczni młodszy bracia ciszkowicie, którzy zajęli jego miejsce, okazali się zarówno groźniejsi, jak i niemożliwi do rozliczenia. Państwowe komisje są w stanie ograniczyć wyzysk pracowników

w danym kraju, wprowadzając takie regulacyjne posunięcia, jak ustalenie płacy minimalnej, ubezpieczenie od bezrobocia i przepisy BHP, ale kto mógłby ustanowić i wymusić takie standardy na rynku globalnym, gdzie firmy nie związane z żadnym państwem mogą polować na tanią siłę roboczą to w tym, to w tamtym kraju? Dziś w o wiele większym stopniu niż w XIX wieku istnieje potrzeba, by proletariusze wszystkich krajów zjednoczyli się przeciw wyzyskowi ze strony monopolistycznego kapitalizmu działającego w skali globalnej. Tylko że nigdy jeszcze nie było to tak mało prawdopodobne.

Nie można mieć pretensji do wielonarodowych koncernów, że dążą do osiągnięcia wysokich zysków za cenę masowego bezrobocia czy poświęcenia środowiska naturalnego na ołtarzu wolnego handlu. Stanie na straży wspólnego dobra i zagwarantowanie, że ci, którzy czerpią zyski z eksploatacji naszej wspólnej planety, zapłacą należny udział jej wspólnym użytkownikom, to zadanie społeczeństwa obywatelskiego i demokratycznego rządu. Kiedy rządy ustępują przed rynkiem, ogłaszają tym samym *désintérêt* co do dziedziny, w której powinny przede wszystkim stanąć w szranki. Po drodze przehandlowują prawa ludów, którymi rządzą.

Rynki nie są po to, by załatwiać sprawy, którymi zajmuje się demokratyczna polityka²². Narzucają prywatne, a nie publiczne formy dyskursu. Pozwalają nam jako konsumentom przemawiać za pośrednictwem pieniędzy do producentów dóbr materialnych, ale ignorują nas jako obywateli rozmawiających ze sobą o społecznych konsekwencjach naszych prywatnych rynkowych wyborów (za wiele materializmu?, za mało sprawiedliwości społecznej?, za dużo monopolów?, za mało miejsc pracy?, czego *my* chcemy?). Promują cele indywidualistyczne, a nie społeczne, pozwalają każdemu z osobna powiedzieć: „Chcę parę butów do biegania”, „Potrzebny mi nowy magnetowid”, „Kupuj jeny i pozbadź się marek”, ale nie dopuszczają mówienia wspólnym głosem o tym, że „Społeczność ubo-

giej dzielnicy potrzebuje nowych urządzeń sportowych” albo „W telewizji i w kinach pokazują za dużo przemocy”, czy też „Powinności okiełznać Bank Światowy i zde-mokratyzować Międzynarodowy Fundusz Walutowy”. Rynek wyklucza myślenie i działanie w kategoriach „my”, wierząc, że potęga skumulowanych indywidualnych wyborów (niewidzialna ręka) jakoś tam ochroni wspólne dobro. Retoryka konsumentów opiera się na słowie „ja”, obywatele mają wspólny język jako „my”.

Rynki to nie wspólnoty, oparte są raczej na umowie. Dopieszczają nasze indywidualne *ego*, ale nie zaspokajają tęsknoty za zbiorowością. Oferują dobra trwałe i ulotne marzenia, ale nie dostarczają wspólnej tożsamości czy przynależności do wspólnoty, co zapewniają z kolei zrodzone przez Dżihad społeczności połączone więzami krwi, tym bardziej spójne, im mniej są w nich rozwinięte stosunki rynkowe. Rynek, bardziej cybernetyczny i zautomatyzowany niż oparty na debacie i dobrowolny, tworzy zbiorowe konsekwencje, które trudno przewidzieć, gdy ma się o nim uproszczone wyobrażenie (sprzężenie zwrotne między konsumentami dokonującymi indywidualnych wyborów a rynkiem, który na nie reaguje). To, co Ludwig von Mises radośnie określał jako „codzienny plebiscyt, w którym każdy groźz daje konsumentom prawo do decydowania o tym, kto powinien posiadać fabryki, sklepy i farmy i nimi kierować”, jest ładnie brzmiącym oszustwem. Osobiste motywy, jakimi kierują się konsumenci wydając swoje grosze, nie mają żadnego wpływu na kwestie własności i kierowania, a cóż dopiero na kształt społeczeństwa obywatelskiego, w którym ci sami konsumenci chcieliby żyć, albo na wspólne cele, jakie razem sobie wytyczają w obywatelskim działaniu na demokratycznej arenie politycznej, chcąc kontrolować społeczne i polityczne konsekwencje swoich prywatnych konsumenckich decyzji²³. Przypomnijmy sobie ostrzeżenie Felixa Rohatyna: „rynek rządzi się brutalną, darwinistyczną logiką. Jest nerwowy i zachłanny. Żąda

stabilności i jasnych reguł, ale to, co daje w zamian, nie zawsze można uznać za formę demokracji, jakiej byśmy najbardziej sobie życzyli”²⁴.

Demokracja woli rynek, ale rynek nie chce demokracji. Stworzywszy warunki umożliwiający zaistnienie rynku, demokracja musi również nadrobić to wszystko, co rynek likwiduje, albo czego nie jest w stanie załatwić. Musi nauczyć obywateli, jak mądrze korzystać z rynku i dawać sobie radę z jego nadużyciami. Musi wspierać wartości i wspólną kulturę, którymi rynek się nie interesuje i których nie ma zamiaru nagradzać. Musi wypracować mechanizmy zapobiegające samounicestwieniu rynku przez anarchię lub monopolizację. Musi zapewnić alternatywną formę wyboru umożliwiającą wspólne jego dokonywanie – jako środek zaradczy na mimowolne społeczne konsekwencje indywidualnych wyborów.

Ważny rozpatrywana już kwestię transportu. Decydując się na kupno samochodu postanawiam, że będę skutecznie i raczej wygodnie przemieszczał się z miejsca na miejsce. Wśród ewentualnych skutków mojej decyzji można jednak wymienić: zanieczyszczenie powietrza, wyczerpywanie się surowców, deprecjację transportu publicznego, tłok w szpitalach, niszczenie środowiska naturalnego przez budowę autostrad. Jako konsument mogę temu wszystkiemu zapobiec w jeden tylko sposób – powstrzymując się od kupna samochodu, co z wąskiej ekonomicznej perspektywy jest działaniem irracjonalnym i oznacza włożenie kija w szprychy gospodarki rynkowej. Wchodzę więc w rolę konsumenta i kupuję samochód. Kapitalizmowi i mnie – jako konsumentowi – zostało oddane to, co należy. W społeczeństwie demokratycznym jestem jednak nie tylko konsumentem, ale i obywatelem. Jako obywatel mogę podjąć wraz z innymi działania na rzecz złagodzenia niefortunnnych skutków mojego prywatnego wyboru. Możemy zakazać używania benzyny z zawartością ołowiu, finansować badania nad silnikami poruszonymi elektrycznością, subsydiować transport pub-

liczny, wprowadzić ubezpieczenia celem refundacji kosztów opieki szpitalnej dla kierowców, ograniczyć budowę autostrad w malowniczych regionach. Te wszystkie obywatelskie działania nie krępują naszej rynkowej swobody, lecz ją ułatwiają. Dzięki demokracji rynek funkcjonuje i umożliwia nam podejmowanie konsumenckich decyzji, ale wiemy przy tym, że możemy przeciwdziałać jego złym stronom. W tym celu jednak musimy mieć alternatywne instytucje nierynkowe, a na arenie międzynarodowej takich demokratycznych instrumentów w ogóle nie ma.

Nawet w państwach narodowych rezygnujemy ze stosowania instrumentów, które posiadamy. Dogmaty wolności konkurencyjnego kapitalizmu, przenikające politykę amerykańską i europejską w ostatnich kilkudziesięciu latach, zostały wzmocnione przez resentymenty wyobcowanego elektoratu, który utracił zaufanie do własnych instytucji demokratycznych. Przekonano nas, że demokratyczne rządy ani nie są „nasze”, ani nie funkcjonują na tyle skutecznie, by ograniczać działanie rynku lub je wspomagać. Zgon marksistowskich dogmatów i dogmatki nakazowej tchnął nowe życie w wolny rynek i dogmaty liberalizmu gospodarczego, co stawia nas znowu przed Friedmannowskim wyborem między radykalnym kolektywizmem a radykalnym indywidualizmem. Potępiamy polityków, jakbyśmy sami ich nie wybrali spośród nas, napadamy na rządy, jakbyśmy nadal żyli w osiemnastowiecznej monarchii absolutnej, a struktury konstytucyjne miały służyć jedynie ograniczaniu tyranii, nie zaś ułatwianiu wspólnego demokratycznego działania. Obywatele wyrzekają się zbiorowego „my”, pozwalają, by pojęcie to identyfikowano wyłącznie ze skorumpowanymi politykami lub totalitarnymi despotami. Władza demokratyczna i nadużycia przez nią popełniane stały się synonimami.

Spoleczeństwa krajów wywołanych od komunizmu, sfrustrowane dzikim kapitalizmem, nie zwracają się do zdyskredytowanych instytucji parlamentarnych, ale do aparatczyków partyjnych, co wyszli cało z upadku tych

samych komunistycznych reżimów, których dziedzictwo kompromituje system parlamentarny²⁵. Oznacza to, że w państwach narodowych zarażonych radykalną ideologią rynku demokracja przeżywa coraz cięższe chwile. Zachodni eksperci tak nalegali na liberalizację rynku, że „kontrolowane przez państwo dziecko wylali razem z kąpielą”²⁶.

Skoro ideologia leseferizmu aż do tego stopnia utrudniła wyłonienie się niekolektywistycznej demokracji, jak można sobie w ogóle wyobrazić demokrację ponadnarodową? Gdyby nawet udało się nam przewyciężyć polityczny brak zaufania we własne siły, to jakie mechanizmy mogłyby nam, obywatelom, stworzyć szansę na odwrócenie niedobrych skutków działania globalnego rynku? Wystarczająco dużo kłopotów przysparza zanik państwowo-narodowego „my” w cieniu Dżihadu i McŚwiata. Stawiamy czoło konsekwencjom obu tych zjawisk pod nieobecność jakiegokolwiek globalnej wspólnoty – globalnych „nas” – przygotowanej do działania ponad granicami państwowymi. Kiedy jedyne możliwe ponadnarodowe połączenie „my” trzeba dobywać ze zanarchizowanej masy zachlannych „ja”, rynek przestaje być skuteczny. Otrzymujemy towary, ale nie żyjemy tak, jak chcielibyśmy; jedni opływają w bogactwa, ale bardzo wielu vegetuje w rozpaczliwych warunkach, a godność nie jest zapewnić na nikomu. Ponad 26 000 działających w McŚwiecie międzynarodowych organizacji pozarządowych nie jest żadnym partnerem dla 500 wielonarodowych korporacji z listy McŚwiatowego tygodnika „Fortune”. Kartele mało względów okazują obywatelom. McŚwiat nie jest układem samoregulującym się i być nim nie może. Nie wygląda też na to, żeby mógł wytworzyć demokratyczne ciała obywatelskie, jakich sam potrzebuje, by dalej funkcjonować. W tym się zawiera paradoks McŚwiata. Nie może przetrwać w świecie, który sam nieuchronnie stwarza, jeśli nie przeciwstawia mu się obywatelskie i demokratyczne siły, które nieuchronnie osłabia.

W kategoriach makroekonomii wspomniane tutaj ułomności wcale ułomnościami być nie muszą²⁷. Są nimi, jeśli je ujmemy w kategoriach polityki. Stają się jednak defektami rynku, kiedy się pozwała, by makroekonomia i rynek uzurpowały sobie rolę polityki. Tragiczne konsekwencje przeprowadzania reform politycznych w myśl makroekonomicznych teorii można wyraźnie dostrzec w krajach Ameryki Łacińskiej i Afryki, gdzie sektor publiczny popada w ruinę wraz z rozkwitem sektora prywatnego. W przekonaniu Guillermo O’Donnella, wybitnego politologa – znawcy spraw Ameryki Łacińskiej – sprawa jest prosta: „prywatyzacja nie równa się demokracji”²⁸. Nie trzeba nic dodawać.

Nie jestem w stanie opisać całokształtu tragicznych skutków, jakie pociąga za sobą narzucanie ekonomicznych rozwiązań problemom demokracji w krajach rozwijających się, chciałbym natomiast zaprezentować krótkie szkice sytuacji w dwóch krajach postkomunistycznych, gdzie pomylono prywatyzację z demokratyzacją i dziki kapitalizm jest od pięciu lat głównym arbitrem wartości obywatelskich. W rezultacie zarówno stara demokracja (w nowych, zjednoczonych Niemczech), jak i nowa, *in statu nascendi* (w starej Rosji) stoją przed niełatwą próbą.